



RAPORT O STANIE GKF

Niejak z urzędu jestem optymistą. Spróbuję być nim i teraz, choć to trudne. Rok, który minął od poprzedniego raportu (czerwiec 1989) był ciężki i pechowy dla stowarzyszenia. Po pierwsze: POLCON'89! Pisałem już kilka razy na ten temat i nie chcę się powtarzać. Mogło być znacznie lepiej. Wina za to, że tak nie było spada w znacznej części na mnie. Mogę tylko przyrzec, że więcej takiego błędu nie popełnię i osoby niekompetentne nie będą dopuszczane do organizacji konwentów nawet na odległość parseka.

Po drugie: w pierwszym kwartale 1990 przestały istnieć 4 kluby stowarzyszenia - Klub Fantastyki "Hydrus" z Akademii Marynarki Wojennej; Harcerski Klub Fantastyki "Kromlech"; Redzki Klub Fantastyki "Phobos" i Tczewski Klub Fantastyki "Alien". Trzy ostatnie cherlały praktycznie prawie od chwili powstania. Brak było w nich fanów, którzy by mogli je konsekwentnie poprowadzić przez trudy codziennej działalności. Na ich czele stanęli prezesi - albo bez jaj albo smarkateria. Tylko "Hydrusa" mi żal. W końcu był to jeden z klubów-założycieli GKF.

Po trzecie: ilość członków w istniejących nadal klubach znacznie zmalała. Dotychczasowa formuła działalności wewnątrzklubowej wyraźnie się przeżyła. Coraz mniej fanów zainteresowanych jest oglądaniem filmów, z których część to starocie a reszta to amerykańskie popu-czyny pośledniego gatunku. Często podupadanie KL związane jest z brakiem siedziby lub przetruczeniem się dotychczasowych działaczy z pracy społecznej na własny business. Jeżeli członek klubu woli kupić sobie dwa piwa puszkowane niż zapłacić składkę kwartalną - to już jest źle! Oczywiście, to o czym piszę to tylko wierzchołek góry lodowej. Gdyby sięgnąć głębiej to znajdziemy: i podgryzanie; i pies ogrodnika; i złośliwości, a także drohne machlojki, niekompetencja, bezzajowość etc. Ale gdyby spojrzeć z orbity, to jesteśmy nadal monolitem. Podobnie jak Chiny Ludowe, czy też mumia Lenina.

BIEDA, BIEDA obnaża wszystko. A GKF bieduje bardziej niż tradycyjnie.

Tyle na czarno!

Uważam za nasz podstawowy sukces w sezonie fantastycznym 1989/90, że mimo wszystko istniejemy dalej, że działamy, że ciągle jest wielu fanów, którym chce się coś robić. Powstał nowy klub stowarzyszenia KF "Acheron" z siedzibą w KO"Remus". Klub młody, przebojowy, aktywny. Rozwijają się nasze zagraniczne kontakty i przynoszą już pewny profit. Szybko rozwija się księgozbiór GKF (szczególnie dział anglojęzyczny). Mimo różnego typu problemów POLCON'89 odbył się! Jest jeszcze nas w stowarzyszeniu 246 fanów (płacących składki!) i liczba ta powoli wzrasta. Obserwuje się (o dziwo!) powroty ekscentryków, którzy odeszli niekiedy przed laty.

Przed nami NORDCON/BABICON - 5-9 grudnia br. Proponuję pełną mobilizację, aby nasza flagowa impreza wypadła jak najlepiej. Odłożymy dyskusje na później.

GKF wymaga zmian. Można je przeprowadzić na III Walnym Zebraniu w styczniu 91. Sądzę, że jedna z "przeszkód" do tych zmian zostanie usunięta, gdy złożę funkcję prezesa GKF i nie będę kandydował na następną kadencję.

Przewiduję kilka scenariuszy rozwoju sytuacji:

1. Dalsze istnienie GKF z nieodzownymi zmianami personalnymi i organizacyjnymi.
2. Rozpad GKF na samodzielne kluby, z których część dokona rejestracji. Niektóre kluby prawdopodobnie się rozpadną.
3. Scesja 1-2 klubów z GKF.

Gdyby to nie brzmiało kretyńsko, to napisałbym na zakończenie: "Jesteśmy na dnie, i albo ugrzęźniemy, albo się odbijemy. Wierzę, że to drugie!"

ADRES GKF: Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2
ADRES KORESPONDENCYJNY: 80-325 Gdańsk 37, skr.pocz.76
Informator redagują: Krzysztof Papierkowski,
Katarzyna Manikowska + zespół
Nakład 300 Wyd. bezpłatne

Krzysztof Papierkowski



INFORMACJE BIEŻĄCE

GDZIE CI MĘŻCZYŹNI ???

Bo chyba nie w giekafiel! Wyjaśniam: kilka dni temu jedna z naszych członkiń (niewien czemu, ale to słowo kojarzy mi się z lenowską "smokinią") wpadła jak furia do naszej siedziby i złożyła zapotrzebowanie na męczyznę niezbędnego jej, jak to określiła: "na spływ kajakowy - do wiosła, rozbijania namiotu i rozgrzewania podczas tegorocznej chłodnej lipcowej jesieni". Nikt, ale to nikt, nie zadeklarował się, że rzuci wszystko i ruszy naza jutrz na spływ z naszą drogą panią "od A do Z". Prezesowi nie pozwoliły obowiązki służbowe i rodzinne, Szeff Kolportażu miał na głowie kontrolę Działu, Bazyl kontynuował zastrzytny obowiązek, innym też coś przeszkadzało.

Dalej można zacytować wieszczka:

"Pani ze złości błada
Jak wpadła, tak wypada..."

Prawdopodobnie polowanie na męczyznę powiodło się. Postaram się sprawę nadświetlić w przyszłości - najpóźniej do 23 kwietnia 1991...

Frodo Junior

ROZWÓD W BUCKLANDZIE

Z kół poinformowanych donoszą, że dotychczasowy prezes "Hobbita" s.z.o.o. dokonał ekspresowego rozwodu zostawiając nieutuloną w żalu Firmę z pięciorgiem małych hobbi-ciątek na ręku. B.prezes spytany o dalsze plany, stwierdził że natychmiast wstępuje w nowe związki małżeńskie oparte na zdrowych, ornitologicznych podstawach. Szczęść Boże, na Nowej Drodze Życia!

PIERWSZY NA LITWIE!

Nasz przyjaciel z Litwy Rolandas Maskoliūnas informuje, że w dniach 29.06-1.07.90 w Kownie odbył się pierwszy LITUANICON. Konwent organizował Kowieński Klub Fantastyki "Phoenix" z pomocą Wileńskiego Klubu SF "Dorado". Obecni byli goście: Jean-Pierre Moumon z Francji - wydawca prozuru "Antares", M.Parowski, Tomcio Marciniak oraz Sławek Śączek z dzwiczyną. Było też kilkunastu fanów z ZSSR.

TERENOWA GRA W ILENIU

O grze terenowej w Ileniu można powiedzieć niewiele pozytywnych rzeczy. Szwankowała pogoda (nie z naszej winy), organizacja i parę innych spraw. Brak w pierwszych dniach przygotowań koordynatora (Adam Białke), który właśnie kończył sesję egzaminacyjną; opóźnił dogranie wszystkich spraw. Nagle bowiem okazało się, że tylko koordynator wie wszystko co trzeba. Następnie wynikły spory o płatności za domki - nie wiadomo czemu okazało się, że za te nieszczęsne domki trzeba zapłacić, nawet jeśli ktoś przyjechał z namiotem. Siedział w tym jakiś kruczek organizacyjny, zwłaszcza że ośrodek polem biwakowym dysponował.

Gdy koordynator wreszcie dotarł do nas, to od razu wywędrował na drugi brzeg jeziora organizować trasę i znów nie było z nim kontaktu. Radiotelefony wprowadzono do akcji dopiero przed rozpoczęciem gry. Także w trakcie samej gry dały się we znaki braki organizacyjne. Na "Wyspie Uzdrowiciela" nie było uzdrowiciela, "Brama Orków" nie była obsadzona. Mogłyby zaistnieć większe braki, gdyby nie osoby zaprzyjaźnione z poza GKF, które przyłączyły się do zabezpieczenia gry.

Można powiedzieć, że zdobyliśmy doświadczenia na przyszłość - nasuwa się przy tym parę wniosków:

1. Sprawy zakwaterowania i noclegu trzeba ustalić dużo wcześniej. Z wyprzedzeniem należy powiadamiać o warunkach płatniczych zaproszone kluby. Rodzaj, a co za tym idzie cena zakwaterowania powinny być zapewnione w tak szerokim wyborze na jaki pozwalają warunki, zaś zaproszeni na grę mogli by znać o ilości i rodzaju miejsc przynajmniej na tydzień przed imprezą.
2. Koordynator imprezy powinien być obecny od początku przygotowań do jej zakończenia, powinien mieć dwóch-trzech dobrze i na bieżąco poinformowanych zastępców, oraz w przypadku działania na dużym terenie mieć z nimi łączność radiową.
3. Powinna być pełna obsada punktów w terenie (nawet z rezerwą).
4. Trzeba mieć na uwadze, że w czasie gry i przygotowań we wzmocnionym stopniu działają wszystkie prawa Murphiego, Papierkowskiego, Uberschnecka i parę innych jeszcze nie nazwanych.

Impreza w Ileniu miała też swe pozytywne. Dobrze wypadły takie punkty w terenie jak "Karczna pod nadgnitym strykiem", "Czarna Wieża", "Wyspa Zbójczyzy". Ognisko było kapitalne, wychwalano też przewodników.

Była to pierwsza impreza tego typu w GKF-ie i może dlatego nie wyszła do końca tak, jak byśmy sobie tego życzyli. Sądzę, że impreza planowana na przyszły rok wyjdzie nam dużo lepiej.

LIST OTWARTY do członków korespondentów



Miłe Kaczki!

Jestem Waszą koleżanką klubową, co niedługo mnie cieszyło, ale od pewnego czasu ta przynależność nie daje mi żadnej satysfakcji. Zapisując się do Kaczek sądziłam w naiwności ducha, iż mimo rozproszenia będziemy w stanie utworzyć coś w rodzaju wspólnoty klubowej - klub korespondencyjny według mnie jest to taki klub, którego członkowie nie czekają, aż im spadnie manna z nieba po opłaceniu składek, lecz w jego ramach sami starają się o kontakty i przyjaźnie.

No cóż, kochani. Nic z tego u nas. Pomyliłam się bardzo; jestem wręcz rozczarowana. Nie jest winą prezesa KCZK, że jej podopieczni mają zupełnie w nosie to, co się dzieje na ich własnym podwórku. Była na Polconie próba bliższego kontaktu. Podobno ktoś zaproponował, żeby razem zredagować informator. Uznałam to za doskonały pomysł, choć nigdy przedtem nie miałam styczności z tego typu działalnością. Ponieważ krakowskie kaczki w liczbie trzy - miały robić pierwszy numer, napisałam do Was listy z prośbą o kontakt i materiały. I co? Oprócz kilku osób, reszta mnie wytwornie zlekceważyła. Czyżymy była taką podłą i wredną kaczką, że nie warto napisać do mnie choćby "pocałuj się w dziób"? To nie fair. Tak więc, moi drodzy, kto mi nie odpisał, niech się czuje, jakby w tym momencie dostał klapsa. Czas na głaskanie być może przyjdzie później.

Na czym polega problem? Moim zdaniem, na tym, że zupełnie nic się nie dzieje. Wygląda też na to, że mój głos jest głosem wołającego na puszczy (...), a karawana idzie dalej. Jednak chciałabym Was rozruszać, dlatego podjęłam jeszcze tę próbę. I oznajmiam, że nie zamierzam nikogo przeproszać za to, co napisałam.

Chcę Was zapytać o kilka rzeczy. Jak można być takim biernym? Jak Wy możecie należeć, i nie robić zupełnie nic, oczekując tylko na przesłanie wydawnictw klubowych, i adieu, do następnego razu? Czyżby naprawdę interesowała Was fantastyka? Przecież to nie polega na samym czytaniu - tak naprawdę, ważne są przyjaźnie, atmosfera... Dlaczego nikt z Was nie podjął choćby próby skontaktowania się z pozostałymi? Czy w ogóle interesuje Was cokolwiek poza sobą i swoimi sprawami?

Od kilku lat obserwuję z przykrością stagnację w całym fandomie. Być może jest to spowodowane nasyceniem rynku, zarówno literaturą, jak filmem sf (zresztą przeważnie pośledniego gatunku). Książka kosztuje dużo - lecz obecnie można kupić prawie wszystko bez większych problemów. Do kina nie trzeba chodzić, bo po co, kiedy wiele osób ma video. Komu by się chciało ruszyć cztery literki, i łączyć po mieście, szukając odpowiedniego repertuaru, kiedy u kumpla jest wygodny fotel, film, do tej pory zakazany czy nie do zdobycia, i niekiedy inne atrakcje. No cóż, też w porządku. Wolno-ć Tomku... Ale czy nie widzicie, jak wiele tracą filmy oglądane w domu? Brak jest zupełnie tego specyficznego nastroju, jaki panuje podczas prawdziwych seansów kinowych - tego pietizmu, skupienia... Dawniej trzeba było walczyć, teraz ta łatwość w zdobywaniu książek i filmów spowodowała, że niekiedy fandom zaczyna przypominać przegotowany makaron.

Mogę dać Wam dwa przykłady - oszczędźcie sami. Wspomnę o klubie, który znają tylko wjaemniczeni, mimo że istnieje już około pięciu lat. Jest to Korespondencyjna Giełda Książki (lub: Korespondencyjny Klub Fantastyki Bez Nazwy) - wiem, że kilka Kaczek do niego też należy. Dwa lata temu ten klub był dla mnie wszystkim. Jest zupełnie niezależny, niezrzeszony i super-dobrowolny. Skupia tych, którzy nie mają ochoty na należenie do czegośkolwiek (połączone z obowiązkami), i tych którzy chcieliby książki wymieniać. Ostatnio jednak, przez ten mały potop na rynku wydawniczym, wcisnęło się do niego kilku handlarzy, oczekujących konkretnych propozycji cenowych, dotyczących oferowanych książek. Szczerze mówiąc, powstał bazar, z którym nikomu nie chciało się walczyć. Z ogólnej liczby 48 osób pozostały zaledwie niedobitki, które chciałyby ocalić klub. Jeden z kolegów (była Kaczka i członek KGK) napisał nawet do ostatniej oferty list otwarty, nieco podobny do mojego. Jeżeli wśród Was są tacy, którzy zechcieliby się przyłączyć, i mają pomysły, w jaki sposób klub może odzyskać dawną rangę, podaję adres trzeciego prowadzącego, który udzieli wszelkich informacji: Andrzej Paczyński, 66-412 Gorzów Wielkopolski 14, skr.pocz. 561.

Drugi przykład, tym bardziej bolesny, że własny, to Krakowski Klub Fantastyki, którego jestem sekretarzem. I tutaj jak wszędzie, pełny spleen. Chciałam więc zrobić coś takiego, co nie udało się w KGK, a niezupełnie w GKF. Przyszło mi na myśl, że utworzę Klub Korespondencyjny, złożony z wypróbowanych osób, korespondencyjnych przyjaceli. Wykluczyłam się z prezesem o regulamin, składki i inne drobnostki, tak aby skorzystał na tym członkowie klubu, poprosiłam zaprzyjaźnionego plastyka o projekt klubowego znaczka, napisałam kilka słów na temat moich zamierzeń, a gościnny GKF zamieścił informację u siebie. Efekt przeszedł sam siebie. Dostałam AŻ cztery listy. No i co, czy Was w tym momencie nie wzięła by cholera? Czy moje warunki (stanowcze stwierdzenie, że wymagam LISTÓW ciekawych i niekonwencjonalnych)



naprawdę dla każdego z Was są nie do przeskoczenia? Ręce i nogi opadają. Do licha, powinieście się nazywać nie "kaczki" a "gesi" (dana Rejowskie). Dużo więcej się spodziewałam. Na razie nic się nie zmieniło. Ciekawe, czy i po tym liście zamilkniecie, i będziecie nadal trwać w nieprzejdnej pozycji fana-konsumenta. Jeżeli nacie ochotę polemizować, czy też mnie zbluzgać, proszę bardzo. Zawsze to będzie coś nowego, ożywczy wietrzyk w zatęchłej atmosferze, której mam już dosyć.

Teraz pogłaskać: dodam na koniec, że przygotowuję na Polcon niespodziankę. Teraz trochę za późno na przyłączenie się, ale jeżeli napiszecie, możecie mieć frajdę z następnej wspólnej zabawy. Dokładnie napiszę tym odważnym, którzy nie będą się bać skontaktować z mną. Wprawdzie z postury przypominam raczej smoka - niż, dajmy na to elfa, ale usposobienie mam łagodne - chyba że ktoś mi się narazi...

Tak więc, do przeczytania.
Kwa, kwa -

Joanna Wielka

PRZYPIIS REDAKTORA: Zapewniłam czytelników, że Joasia absolutnie nie przypomina z wyglądu smoka, wręcz przeciwnie. W każdym bądź razie napewno nie ma ogona. I po drugie: mam nadzieję, że nie spotka ją los jej słynnej imienniczki, która też była bardzo energiczna i nawiedzona...



Dymią Kominy Śląska, **SALVE SILCON** (iku)'90

Wall Stalowy Młot.

Nową Wykupa Polskę - tak się kiedyś śpiewało na wielkim placu Feliksa Dzierżyńskiego. Potem się nie śpiewało, bo się kopało... na polecenie, aż się wybudowało słynny December Palace (oczywiście nazwa od właściciela). Tak się udał, że nawet strach było tam wchodzić. Dywany, marmury, windy, nagłośnienie. Nawet sobie nie wyobrażacie jakie to było piękne - z zewnątrz.

Ale festina lente i upłynęła dekada (dla niezorientowanych około 3650 dni czasu ziemskiego).

I dopiero zaczęły się dziać rzeczy niemożliwe. Pan Piotr (K.) powiedział że, dość tego. Odchodzę!... do Księgarni, gdyż jest jej szefem (agencyjnym). Pewna Pani (Elżbieta Gepfert ps. Elirena - elf), kiedyś zatrudniona jako sekretarka u Pana Piotra, stwierdziła: że może być Prezesem. I Jest! Demokratycznie.

Następnie słynny Raku (Piotr), oraz skądinąd Cholewa (Piotr) - (kocha i nie ukrywa, że kocha Panią Malinowską - tą z ostatniej strony "Fantastyki") poszli do tego December Palace (czytaj: Wojewódzkie Centrum Kultury) i... wrócili. Otrzymaście mając już takie wsparcie wszystkie problemy przestały być problemami.

O czym na zlecenie Mamy Kaczki (jak zwykle spóźnionym) donosi Kaczka Korespondencyjna z centrum Górnej Śląska, czyli Kaczor Miruś

Acha, był konwent oczywiście, dwudniowy od 19-21.06, żadne tam jakieś różne tararara. Spokój i Kultura. W końcu Centrum. Ludzi 200 (jest to propaganda sukcesu, ale w takim miejscu... wybaczałem). Na głównej sali na 1 Fana przypadało od 8-12 wolnych miejsc, tak że duży komfort. Dobra widoczność, można więc było tak przebiegać jak: Legenda, Zmniejszylem Nasze Dzieci, lub Miecz Dla Króla oglądać z uwagą i w skupieniu. Ponieważ trochę "kwakałem" organizatorzy zapewnili mi bezpłatny przejazd windą szybkobieżną na czwarte piętro z drugiego i powtórkę tegoż samego filmu. Po takich wrażeniach z chęcią skorzystałem z dwupodzinnej przerwy w projekcjach na obiad (czytaj kawę, bo obiadu i tak nie przystawiali) i dyskusję w kuliarach. Nadzwyczajna sesja sekcji Tolkienowskiej, wystawa arcydzieł Pana D. Chojnackiego. Można było też sobie obejrzeć jak Pan Wiktor Bukato poprawia maszynopis nie pijąc kawy. Oczywiście po wyczerpującej dyskusji z Eliranem (czyli Chotbergkrancem) - jest to druga część elfa Rakkaporta (oczywiście informacyjnie dla tych, którzy dzielnie ściskają talon na subskrypcję Tolkienowską - sprzedaje SKF za 30.000 - niezniszczalny Piotr Cholewa). Trzepot serca i banknotów powodowały trzy księgarne (czytaj: trzy obok siebie). Jedną Pana Kasprońskiego, który mianował na to stanowisko właściwego człowieka i pojechał na Mazury. Drugą klubową, w której sprzedawano klubówki, różniste - do czytania, do oglądania, do kolekcjonowania (np. dwie wersje tegoż samego Harrisona - Szczerzy Prezydentem). Jak przystało na Centrum Kultury - księgarnia państwowa (chyba). Ponieważ organizatorzy zrezygnowali po raz któryś z pokazania rewelacyjnego Królika Rogersa, wymieniając go na jeszcze bardziej rewelacyjną Muchę II, udałem się w drogę powrotną z przebojem sezonu pod pachą, czyli książkę Pana Krački - TUMFL. Drzwi zamknęły się za mną bezszelestnie. Co technika to jednak technika.

WIDMO W KRAKOWIE IIIIIIIII

Widmo Optymizmu krąży po...południowej Polsce.

Wyszło z ciemnej, mrocznej jamy nie dogazowanego* Krakowskiego Smoka. Z południowo-wschodnim wyżem przemieściło się w okolice nadmorskie i powstał w informatorze GKF-u tekst-szlągiel - czytaliście? -Nie? No nie! - Szukajcie tego numeru.

Oni tam napisali, że "Smok pożre Kaczkę".

Ja już drugi miesiąc się śmieję i dlatego z takim opóźnieniem ukazuję się ten tekst.

Wyobraźcie sobie jak takie prehistoryczno-deistyczne wypaczenie, które nie poradziło sobie z jednym baranen (słownie: 1) może zagrozić normalnej kaczkę. My KACZKI, które uratowałyśmy Rzym, a więc i stolicę...przed zagładą (no, dobra - ale najbliższa rodzina - chyba nie zaprzeczycie?) - szkoda kwakwania.

Jest to oczywiście galicyjski brak wyobraźni, ale są to też historyczno-polityczne uwarunkowania monarchistyczne przekazywane genetycznie. Może jednak coś w tym jest? Jedna Kaczka robi sobie w Krakowie Eurocon'91. Robi sobie i już. Powodzenia Marku!

O czym doniósł z terenu

Kaczor Miruś

* kiedyś pomnik krakowskiego smoka zionął ogniem, niestety brak środków na paliwo.


& BABZON
 już za
 4 miesiące

● Andrzej Gaj zam.ul.MMR 35/5,
 ● 39-200 Mielec - sprzeda swoją
 ● bibliotekę SF. Oczekuje kontaktu.

● **DUCHY POLSKIE**
 ● **CZYLI JEBUCZACZA**
 ● **IOPIEKUŃCZE SKRZYDŁA**
PREZESA

2 lipca 1990, godzina 4.45. Cztery dusze z GKF-u (Ania Zawadzka, ja, czerwony mały fiat imieniem Bambus i biało-rudy pies imieniem Bajtek) wyruszają w Polskę na poszukiwanie duchów. Początek jest niezły - zaczyna się bagażnik. Duchy?

Gołańcz, woj.pilskie. Miała tu straszyc zgwałcona przez Szwerdów starościanka, straszą dwa panowie z czerwonymi nosami i podejrzliwie łypiący okiem chudy koń. Wynosimy się.

Ostroróg. Na wchodzącym w jezioro półwyspie mają leżeć ruiny zamczku. Szukamy. Rnbi się ciemno, droga wciąga przez las, odludzie. Łączka. Tu chyba nic nie ma - więc wycyfujemy się. Bambus miękko wchodził w zakręt i z błogim młasniciem grzeźnie w bloku. Siedzi po osie. Rozpacz. Godzinę później viribus unitis jakoś wyciągamy go z błota. Ciemno jak cholera. Rozbijamy więc namiot... I nagle Bajtek zaczyna warczeć. Kamieniejemy. Duch? Skąd?! Toż w Ostrorogu nie straszy!! Pies warczy. Coś pohukuje znad jeziora. Północ blisko Ludzie? ZBOCZENCY!!! Łapię za sękatą gałąź. Cisza. Pies przestał warczeć: śpi. Niech to szlag. Całą noc mamy do tyłu.

Rano pierwszy strajk: prawe przednie koło Bambusa drze o nadkole. Wyklepujemy. Koniec strajku.

Szamotały. Czarnej Księżniczki ani śladu. Olbrzymie łopiany i wieża w remoncie. Senne, zapyziałe miasteczko.

Dwa dni później nocleg wypada nam u podnóża zamku w Lipowcu (woj.krakowskie). Rozbijamy namiot na kawałku trawnika, pod murem parku etnograficznego. Doskonale widać stąd wieżę Lipowca. O 2.30 coś się zaczyna dziać: Bajtek ni stąd, ni zowąd wypryskuje ze szczególnie zamkniętego namiotu i jak szalony rwie się w stronę zamku. Wybiegam za nim, przez kilka minut drę się bezskutecznie; ani śladu bydłęcia. Naraz słyszę - pędzi z powrotem: ogon podwinięty, uszy podwinięte, w oczach wyraz przerażenia. Pisk, pies ładuje się do śpiwora i dygocze. Co, do pioruna? Ani chybi stworzenie spotkało lipowiecką Czarłą Karetę, bezszelestnie jeżdżącą nocami po kamienistej ścieżce...

Rano wiedzamy Lipowiec. Bajtek nadal się boi, nigu nie łypie na wszystkie strony.

Kaplice, wioszczka gdzieś po drodze. Trafiamy na ruiny neogotyckiego pałacu hrabiów Schaffgotschów. Olbrzymie sarkofagi ostatnich hrabiów, całkowicie zapaskudzone przez gołębie. Pałac jest do głębi niesamowity: ogromny, dwupiętrowy, z mnóstwem zaułków, kapliczek, wejść, komnat, sal balowych, lochów, obok park, piękne jezioro. Orszak PGR. W pod-

ziemiach znajdują dokładnie zmumifikowane zwłoki. Prosiaka. Kawalek dalej - zasuszoną gęś. Potem wiażę na piętro i natychmiast gubię się w pałacowych zakamarkach. Włos jeży mi się na głowie. Nie wyleżę stąd, za żadne skarby świata nie wyleżę...! Dziura w podłodze. Nie, to nie ta! Zaraz, spokojnie. Okno, przy oknie dorodne dziewczko - tu? Przynajmniej jestem już na parterze. Ale nadal nie wiem, jak stąd wyjść. Paręnaście minut później znajduję drogę: przez dziedzińca. Podziemia? Hmm... Zachłanny jakiś ten poschaffgotschowski pałac: prosiak, gęś, teraz ja...

Nowy Wiśnicz. Tu natęgnięcie grozy jest o wiele większe: i skarby podobno w podziemiach, i widmowy biały koń galopujący po dziedzińcu, i Biała Dama przechadzająca się po murach, i trzej jeńcy tureccy, którym nie udało się ucieczka... nieszczęsny nasz Bambus ma tego dosyć: zaczyna strajkować. Rozkraczył się i dalej nie pojedzie. Wybebeszyłam pół silnika nim Ania znalazła pana mechanika gotowego poratować nas w nieszczęściu. Po naprawie zaczynają buntować się hamulce. O tak, bez hamulców rychło powiększymy grono duchów polskich...

Smoleń, gdzieś na Szlaku Orlich Gniazd. Deszcz, mglisto, kamienie śliskie jak cholera. Mimo to dzielnie eksplorujemy ruiny. Z jednej strony wysoki mur, z drugiej przepaść około pięćdziesiąt metrów, środkiem biegnie wąziutka, kamienista i omszała ścieżka do baszty, stroma przy tym jak siedem nieszczęść. Wspinamy się dzielnie. Kaloski ślizgają się, płaszcz przeciwdeszczowy płacze się pod nogami... Anka, zdesperowana, maszeruje na bosaka. Zastanawiam się tylko, jak my stąd zleziemy.

Wreszcie baszta. Bajtek, ta nasza góraska kozica, ma ochotę wejść wyżej. Nie wiem, może ten pies ma przyssawki na łapach, skacze po kamieniach lekko, pewnie i zwinnie. Siadamy w baszcie i zaczyna się: Ania zamyka oczy i grobowym głosem opowiada:

- ... I od tego czasu corocznie w dzień tragedii (którego to dziś mamy? Dziesiątego?), czyli dziesiątego lipca, na murach zamkowych dostrzec można trzy postacie: dwie ludzkie w płaszczach przeciwdeszczowych i jedną psią. Widma te spacerują wzdłuż murów, a obszedłszy zamek giną u podnóża baszty, na ścieżce, z której spadły. Na kamieniach poniżej można jeszcze czasami dostrzec ślady krwi...

- ... A u stóp wzgórze - dołączam się - również w każdą rocznicę tragedii zobaczyć można widmowy samochód. Czerwony maluch z zapalonymi reflektorami jeździ po okolicznych ścieżkach, nie słycać ani chrzęst kamieni pod kołami, ani pracy silnika... Jest to zapewne duch tego samochodu, który zaparkowany pod zamkiem, rozpadł się po kilku latach ulicznych deszczów na kupkę rdzy, samochodu należącego do tragicznie poległych eksploratorów i ich psa...

Taaak... A teraz trzeba stąd zejść.

Dalej są już tylko rozczarowania. W Ogrodzińcu ani śladu Czarnego Psa (nb. ja też bym nie straszyla w tak zdeptanym zamku, przeciwieństwo tu nie ma warunków do pracy...!), po murach Dankowa nie snuje się jeździec bez głowy, w uniejowskim parku nie przechadza się generałowa Tollowa, w Pieskowej Skale straszy tylko gburowaty strażnik ("Z psem nie wchodzić")... Z Bobolic trzeba było uciekać ile parę w silniku, bo Bajtek zebrał jedyną wioskową kurę i ci miejscowi chłopcy z widłami i morderem w oczach... Niemniej ekspedycja uwieńczona została sukcesem: lipowiecka karetka, zachłanny zamek w Kapicy... A więc są jeszcze w Polsce duchy!

Ostatni strajk ekspedycji: w drodze powrotnej, na drogach województwa bydgoskiego Bambus z powodzeniem przełamuje blokadę rozsierzdzonych rolników indywidualnych tarasujących szosy - zwinnie ominą jeden oflagowany traktor, potem drugi, przywarują przed ponurym szeregiem kombajnów, a ledwie ostatni Bizon zabrał znad dachu Bambusa swój potworny kościarkowyśięgnik, nasz dzielny samochodzik z piskiem opon wyprysnął na szosę i oddalił się triumfalnie.

Co zaś do tytułowej jebuczaczki: nieprzyzwoita ta piosenka stała się nieoficjalnym hymnem naszej ekspedycji. Słów nie podaję ze względu na obrazę moralności.

Nasz ukochany Prezes natomiast... po raz pierwszy dostrzegiliśmy jego charakterystyczny, seledynowy samochodzik w okolicach Człuchowa - nic to, że na zmienionych numerach! Prezes czuwał nad nami! Potem widywaliśmy go częściej lub rzadziej, ale zawsze najmniej dwa razy dziennie. Niewiem tylko, po co za każdym razem zmieniał on numery rejestracyjne; nas nie zwiódł. Strzegł nas także jego kuzyni, jeżdżący po Polsce w seledynowych trahanach lub jaskrawoszmaragdowych maluchach. Prezesie - dziękujemy!

Katarzyna Manikowska
Anna Zawadzka

KOMENTAŻ REDAKTORA: Oświadczam oficjalnie, że NIE ŚLEDZIEM wyż.wym. Nie było to potrzebne, gdyż owe fanki są znane w całym Fandomie z wysokiej moralności i nienagannego prowadzenia. Co zaś do hipotetycznych napastników - czy to ja niańka: sami napadali, sami niech się bronią. Faktem niezbitym jest jednak to, że DUCHEM byłem z naszymi eksploato...ekspro...eksplota...ech, nieważne.